

O wypełnianiu przez Polskę jej potencjału

Polska ma obowiązek starać się wykorzystać swój potencjał regionalnego lidera i próbować tworzyć system trwalszych sojuszy



Polska ma obowiązek starać się wykorzystać swój potencjał regionalnego lidera i próbować tworzyć system trwalszych sojuszy

Spór o miejsce i sposób działania Polski w polityce międzynarodowej, a w szczególności w polityce europejskiej, został na nowo zdefiniowany w pierwszych latach rządów Platformy Obywatelskiej, gdy partia ta zyskała realny wpływ na kształtowanie polskiej polityki, a zarazem weszła w ostry konflikt ze ś.p. prezydentem Lechem Kaczyńskim, którego wizja była diametralnie odmienna. O „polityce jagiellońskiej” i „polityce piastowskiej” pisał w pamiętnym artykule w końcu sierpnia 2009 r. Radosław Sikorski, określając zresztą tymi pojęciami podejścia niewiele mające wspólnego ani z faktyczną koncepcją piastowską, ani jagiellońską, po prostu na użytek bieżącego sporu politycznego.

Koncepcja Lecha Kaczyńskiego była już wówczas dość jasna, choć jej wcielanie w życie wymagało o wiele więcej czasu niż dwa lata względnej swobody działania (2005-2007). Koncepcja rządu Tuska z początku była jedynie prostym lustrzanym odbiciem koncepcji PiS i nie zawierała żadnej strategicznej wizji. Z czasem nieco okrzepła i chyba najjaśniej została wyrażona w wystąpieniu Radosława Sikorskiego podczas berlińskiego wystąpienia w Niemieckim Towarzystwie Polityki Zagranicznej w listopadzie 2011 r. oraz w exposé szefa MSZ, ogłoszonym w Sejmie w marcu 2012 r.

Postaramy się przedstawić w maksymalnie skondensowanej postaci obie rozbieżne koncepcje uprawiania przez Polskę polityki zagranicznej i oba sposoby widzenia jej miejsca w świecie i Europie. To niezbędne, aby przejść do dalszych rozważań.

Koncepcja, którą Sikorski nazwał swego czasu jagiellońską, zakłada, że Polska jest graczem na tyle silnym, iż może zadziałać jak ośrodek krystalizacji dla państw o podobnych interesach w naszym regionie oraz dodatkowo stworzyć własną siatkę interesów w dalszych częściach świata – choćby w bogatym energetycznie regionie Kaukazu. Z tymi zasobami jesteśmy dopiero w stanie podjąć rozgrywkę na partnerskich zasadach z innymi ważnymi graczami, przede wszystkim zaś, w miarę możliwości, z Francją i Niemcami.

Zgoła odmiennie widział sytuację rząd Tuska. Zdaniem Sikorskiego, Polska z powodu własnej słabości oraz okoliczności obiektywnych, takich jak np. spoglądający zdecydowanie bardziej na wschód prezydent Ukrainy, nie jest w stanie stworzyć siatki sojuszy i powiązań, o jakiej myślał zmarły tragicznie prezydent. Z geopolityki wynika, że jesteśmy w strefie oddziaływania dwóch bardzo potężnych graczy – Niemiec i Rosji – musimy zatem w takich okolicznościach dokonać wyboru jednego z nich jako naszego protektora. Nasz wybór wydaje się oczywisty – wolimy być protegowanym niemieckim niż rosyjskim. Lecz jako że gracze ci mają ze sobą wiele wspólnych interesów, nie zostaniemy zaakceptowani jako niemiecki protegowany, jeżeli będziemy stanowili przeszkodę w ułożeniu dogodnych wzajemnych relacji Berlina z Moskwą. Dlatego za oddanie się Niemcom pod opiekę musimy zapłacić określoną cenę. Jest nią zgoda na rolę swoście pojmowanego „podwykonawcy” Niemiec, czyli kraju, który godzi się na poślednią rolę nie tylko polityczną, ale także gospodarczą i zobowiązuje się nie promować tych swoich interesów – poza absolutnie żywotnymi – które pozostają w konflikcie z interesami nie tylko niemieckimi, ale również rosyjskimi.

Jeżeli zadaniem tego tekstu jest próba odpowiedzi na pytanie, czy koniunktura międzynarodowa sprzyja snuciu „mocarstwowych” planów czy raczej powinna skłaniać do porzucenia ich, to w kontekście realizowanej przez rząd PO-PSL polityki odpowiedź negatywna wydaje się oczywista. Tymczasem „mocarstwowość” powinna być nie tylko istotną dla nas opcją, ale wręcz obowiązkiem.

Przede wszystkim trzeba jednak zaznaczyć, że nie mówimy o karykaturalnie rozumianej mocarstwowości, którą wygodnie wykpić. Do takich zabiegów ucieka się często obecny szef MSZ, będąc w tym zresztą mocno niekonsekwentnym. Z jednej strony wielokrotnie jako obiekt swoich kpin przywoływał wydaną krótko przed II wojną światową broszurę ambasadora RP w Paryżu Juliusza Łukasiewicza *Polska jest mocarstwem*. Z drugiej jego opowieści o rzekomej niezwykle mocnej pozycji Polski w UE sprawiają wrażenie chorobliwej megalomanii i nie znajdują potwierdzenia w twardych faktach.

Mówiąc o „mocarstwowości”, mamy na myśli jedynie powrót do rozsądnej strategii politycznej, oznaczającej budowanie wokół Polski systemu sojuszy. Dzisiaj, zgodnie z opisaną wyżej koncepcją rządu PO, polskie państwo takiej strategii nie realizuje. Jest to poważny błąd. Błędem jest również uzależnianie decyzji o budowaniu lub niebudowaniu systemu sojuszy od chwilowej koniunktury. Taka decyzja nie powinna być zależna przede wszystkim od bieżących warunków (one mogą jedynie determinować sposób dążenia do celu), ale od **potencjału państwa**, czyli czynnika o wiele bardziej długoterminowego, strategicznego, nie zaś taktycznego. **Potencjał państwa** jest w tej kalkulacji czynnikiem kluczowym i będzie o nim dalej mowa.

Obecni twórcy polskiej polityki zagranicznej wyszli z kilku błędnych założeń. Pozostawmy na boku kwestię realizacji przez nich w ten sposób wewnętrznego interesu politycznego, co jest ważną motywacją ich działań, ale dla rozpatrzenia sprawy ze strategicznego punktu widzenia nie ma większego znaczenia.

Pierwsze założenie to twierdzenie o słabości państwa polskiego. Z tej słabości ma wynikać niemożność zgromadzenia własnego kapitału politycznego w postaci m.in. właśnie systemu sojuszy. **To założenie jest wyjątkowo niebezpieczne, ponieważ stoi w sprzeczności z zasadą realizacji potencjału państwa.**

Zasadę tę można przedstawić następująco. Każde państwo ma określony potencjał, wynikający z jego immanentnych cech, zmieniających się jedynie w długim okresie lub pod wpływem bardzo gwałtownych zaburzeń, takich jak wojna lub potężne finansowe tsunami. Te cechy to m.in. położenie geograficzne, zasoby naturalne, liczba ludności, ale także trudniejsze do wymierzenia kwestie: siła oddziaływania kulturowego czy dziedzictwo historyczne. Z potencjału państwa wynika teoretycznie możliwa do osiągnięcia przez nie pozycja międzynarodowa. Ta pozycja oczywiście waha się w czasie i nieczęsto zbliża się do swojego maksymalnego wymiaru (choć zdarza się to jak w przypadku Anglii w wiekach XVIII i częściowo XIX czy USA w drugiej połowie XX w.), jednak twórcy polityki zagranicznej powinni pamiętać, że **do racji stanu należy realizacja tego potencjału w jak najpełniejszym wymiarze.** Oznacza to, że **należy dążyć do stworzenia środków i narzędzi, które ów potencjał pozwolą wypełnić.**

Dlaczego jest to konieczne? Najkrócej mówiąc – ponieważ środowisko międzynarodowe jest dynamiczne. Układ państw, ich hierarchia nigdy nie stoją w miejscu. Popularne w pierwszej połowie lat 90. twierdzenie o końcu historii to absurd. Dziś widać to wyraźniej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich ponad 20 lat.

Wbrew powielanemu często błędnemu paradygmatowi „wspólnego interesu europejskiego” czy idealizowaniu instytucjonalnych ram, w których mieszczą się współczesne stosunki międzynarodowe, trwa bezwzględna często gra interesów. (Można wręcz założyć, że jest ona tym twardsza, im więcej maskuje ją idealistycznych frazesów.) **Państwo, które nie stara się realizować swojego potencjału, czyli świadomie abdykuje z możliwości wynikających z jego immanentnych cech, natychmiast spada w międzynarodowej hierarchii.** Taka postawa jest brutalnie i bezwzględnie wykorzystywana przez wszystkich, którzy mają sprzeczne z nim interesy. Co więcej, realny spadek jest tym większy, im większa jest luka pomiędzy potencjałem a realizowaną polityką. Wyobraźmy sobie dwa państwa – A i B – które realizują politykę na podobnym poziomie, przy czym dla państwa A jest to niemal szczyt możliwości, zaś dla państwa B zaledwie ich niewielka część, a prowadzona polityka wynika ze świadomego samoograniczenia. W takiej sytuacji w znacznie gorszej sytuacji będzie państwo B.

Polityka, jaką prowadzi rząd Donalda Tuska, tak właśnie wygląda. Wbrew potencjałowi Polski, nasza rola zostaje sprowadzona do funkcji podwykonawcy przy silniejszym, podczas gdy potencjał Polski predestynuje nas do bycia regionalnym liderem, a więc nie podwykonawcą, ale partnerem, nawet jeśli słabszym. Warto tu także

przypomnieć przytaczaną przez Dariusza Gawina w znakomitym esejju *Przekleństwo 1709 roku*[1] celną opinię, że problem Polski polega na tym, iż jest zbyt silna, aby zmieścić się w kategorii państw małych, a zbyt słaba, aby dołączyć do wielkich.

Rząd Tuska widzi rolę naszego państwa na poziomie potencjału państwa wielkości i położenia Słowenii czy Słowacji. Wizję takiej roli przedstawił dość czytelnie w swoim niedawnym exposé minister Sikorski.

[...] skoro motorem Unii – o czym [Sikorski] wspomina w exposé wprost – są Niemcy, to przywiążmy Polskę trwale do Niemiec. Miałyby to być swego rodzaju układ handlowy. Berlin zobowiązałby się uwzględniać w pewnym stopniu nasze interesy – jednak tylko te najbardziej podstawowe. Wolno bowiem domniemywać, że nie mieściłyby się w tej kategorii ani sprawy w rodzaju Nordstreamu, ani kwestie równego traktowania pomocy publicznej w ramach polityki unijnej. W zamian Polska zobowiązałaby się do wspierania Niemiec we wszystkich ważniejszych kwestiach, do nieforsowania własnego interesu tam, gdzie może być sprzeczny z żywotnym interesem Berlina oraz do rezygnacji z budowy własnego obozu politycznego wewnątrz wspólnoty.

Zwłaszcza ta ostatnia kwestia jest kluczowa dla zrozumienia istoty polityki, proponowanej przez Sikorskiego. W jego wizji nie ma miejsca na tworzenie autonomicznej pozycji Warszawy wobec innych znaczących sił Europy[2].

Takie ustawienie Polski skazuje ją na uleganie interesom państw silniejszych przy poświęceniu własnego. Dlaczego tak musi się dziać, dobrze pokazuje nacisk na funkcjonowanie w ramach Trójkąta Weimarskiego, przedstawianego jako świadectwo tego, że Polska ma w Unii wiele do powiedzenia. Układ w Trójkącie Weimarskim temu przeczy. Prosta geopolityczna analiza interesów pokazuje, że nie może on być dla Polski korzystny, jako że dwaj pozostali członkowie Trójkąta – Francja i Niemcy – mają więcej wspólnych interesów (choćby na osi z Moskwą czy w energetyce) niż każde z tych państw ma z Polską. Daje to czytelny układ „dwa kontra jeden”.

Rząd Tuska zrezygnował z jakiegokolwiek próby budowania bardziej trwałych sojuszy w regionie, tak aby do rozmowy z najsilniejszymi przystępować z pozycji regionalnego lidera, posiadającego na starcie własny kapitał. Propozycje powrotu do polityki tworzenia sieci sojuszy są kwitowane lekceważącymi stwierdzeniami, że nie ma zainteresowania ze strony innych stolic, a sama Polska ma zbyt słabą pozycję i ofertę, żeby ten stan rzeczy zmienić. To dorabianie teorii do praktyki – **decyzja o rezygnacji z takiej polityki była pierwotna wobec jakiegokolwiek wysiłku w tym kierunku. Została podjęta natychmiast po wygraniu wyborów przez Platformę.**

Jest to tymczasem obecnie jedyna metoda skutecznego realizowania potencjału polskiego państwa. Pozostałe sposoby, takie jak znaczące wzmocnienie militarne czy ekonomiczne, wymagają znacznie więcej czasu lub są poważnie utrudnione ze względu na ograniczające nas traktaty. Nie można oczywiście pomijać faktu, że istnieje tutaj współzależność. Na przykład aktualna sytuacja ekonomiczna kraju w

jakiejś mierze determinuje jego atrakcyjność jako lidera grupy. Nie jest to jednak współzależność decydująca, a też Polska nie znajduje się na razie w sytuacji katastrofalnej.

Czy zatem zbudowanie siatki sojuszy trwalszych niż klasyczne unijne sojusze *ad hoc* jest dzisiaj możliwe? Po pierwsze, trzeba raz jeszcze przypomnieć, że Polska jest **naturalnym** liderem regionu. To daje nam od razu możliwość skuteczniejszego oddziaływania na mniejsze kraje.

Po drugie – **istnieją strategiczne, geopolityczne i długoterminowe uwarunkowania, które sprawiają, że niezależnie od chwilowych koniunktur pewne szanse oraz zagrożenia trwają i będą trwałe**. Na nich zaś można oprzeć mniej doraźne sojusze. Te uwarunkowania to: potencjalne (niekoniecznie militarne, ale i tego nie można wykluczyć) zagrożenie ze strony Rosji, Stany Zjednoczone jako ważny aktor także europejskiej gry, konieczność przeciwdziałania przechyłowi struktur europejskich ku interesom kilku największych państw Unii, bezpieczeństwo energetyczne i do jakiegoś stopnia kwestia korzystania z unijnych funduszy. Rzut oka na mapę poprzez sprawdzony, geopolityczny pryzmat pokazuje, że zwłaszcza te dwa pierwsze uwarunkowania tworzą ogromne możliwości stworzenia stosunkowo trwałych przymierzy od Sztokholmu po Budapeszt. Paradoksalnie spadek zainteresowania naszą częścią Europy przez Waszyngton i tak niepokojące sygnały jak słynna już podsłuchana rozmowa Baracka Obamy z Dmitrijem Miedwiediewem mogą oznaczać rosnące zapotrzebowanie na regionalne przywództwo. Przy tej okazji pojawiłyby się oczywiście istotne dylematy, jak choćby ten dotyczący postawy wobec Litwy w sytuacji ewidentnej dyskryminacji polskiej mniejszości lub postawy wobec Ukrainy i jej zorientowanych na wschód

władz. Takich trudnych wyborów i kalkulacji nie da się jednak uniknąć. Każdą trzeba traktować osobno, nie myląc wszelako względów taktycznych ze strategicznymi.

Podsumowując: **Polska ma nie tylko możliwość, ale wręcz obowiązek starać się wykorzystać swój potencjał regionalnego lidera i próbować tworzyć system trwalszych sojuszy.** Nawet jeżeli warunki wydają się mało korzystne, naszą rolą jest zacząć je zmieniać, a nie popadać w rodzaj determinizmu, będący często wygodnym usprawiedliwieniem braku umiejętności, lenistwa lub po prostu realizacji partyjnych albo nawet czysto osobistych interesów.

Łukasz Warzecha

Tekst ukazał się na stronie Ośrodka Myśli Politycznej

[1] Dariusz Gawin, *Przekleństwo 1709 r. Czy Polacy mogą wybić się na podmiotowość?*, „Teologia Polityczna” nr 5, lato 2009 – jesień 2012.

[2] Łukasz Warzecha, *Satelita Niemiec*, „Rzeczpospolita”, 2.04.2012.